

PRZEWODNIK KATOLICKI



Redaktor:
X. Stanisław Ciążyński
w Poznaniu
Telefon Redakcji: 2678.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich.

Bezpłatne dodatki:
„Dom Rodzinny”, „Słowo Boże” i „Opiekun Dziełek”.

Adres do wszelkich przesyłek:
„Przewodnik Katolicki”
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki” w ekspedycji i w agencjach miejscowych 420 mk., na pocztę, w agencjach zamiejscowych lub pod opaską 500 m. — Cena ogłoszeń 100 mk. za milimetr.

Nr. 48.

Poznań, dnia 26 listopada 1922 roku.

Rok XXVIII.

MATKA-OJCZYZNA.

W każdym prawem i szlachetnem sercu płonie ogień świętej miłości Ojczyzny. I to uczucie miłości Ojczyzny nigdy na świecie zupełnie nie zaginie.

Dlaczego? Bo ma silne naturalne pobudki.

Człowiek tak silnie jest związany ze swoim narodem i krajem ojczystym, jak kwiat lub drzewo z ziemią, na której wyrasta. Niezliczone nici i węzły serdeczne, jak korzonki delikatne, łączą go najściślej z ziemią ojczystą. Tam to na tej ziemi żyli i pomarli przodkowie i praojcowie nasi. Oni użyźnili ją wielowiekową pracą swoją, oni jej bronili i zrosili ją krwią swoją, oni uświęcili ją miłością swoją i w niej też złożyli swe kości do snu wiecznego. My jesteśmy ich synami i potomkami. W naszych żyłach ta sama krew płynie, a wszystko, co mamy, jest ich spuścizną. Czy już to samo wspomnienie minionych dziejów naszej Ojczyzny i wszystkich cierpień i radości naszych praojców nie jest zdolne wzbudzić w każdym szlachetnem sercu uczucia przywiązania i miłości?

Ale nie koniec na tem. Ile to my sami zawdzięczamy dobrodziejstw tej ziemi ojczystej? Tam na tej drogiej ziemi ujrzałyśmy światło dzienne i uczuliśmy pierwszy pocałunek ojca i matki. Tamżeśmy się wykołysali,

tam szebiotali pierwsze wyrazy mowy ojczystej i pierwsze wyrazy modlitwy do Boga. Tamżeśmy wzrastali i zażywali najpiękniejszych uciech i rozkoszy dziecięcych, które jeszcze wtedy mile wspominać będziemy, gdy już sron siwizny pokryje włosy nasze.

Ta ziemia, jak matka swą pierśią, karmi nas i żywi swymi płonami. Ona nas przyodziewa, jak może, daje nam dach nad głową, daje naukę i wykształcenie w szkołach, daje pole do pracy, daje stanowiska, urzędy, wygodę. Ona też kiedyś przyjmie w swe łono kości i prochy nasze. I któżby tej ziemi nie kochał? Chyba wyrodek ostatni, potwór nieludzki. Co to znaczy kraj ojczysty, ten tylko w całej pełni ocenić i odczuć może, kto na długo opuścił go i między obcymi życie swe pędzić musi. Stąd to tak tęsknie i rzewnie śpiewał na wygnaniu nasz wielki poeta Mickiewicz: »Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.«

Takie uczucie mógł tylko Bóg wszczepić w naturę naszą. Dlatego też nie tylko nie zakazuje nam miłości Ojczyzny, ale ją wprost zaleca w Piśmie świętem Starego Testamentu, a w Nowym Zakonie uczy jej nawet swoim przykładem. Pan Jezus niedwuznacznie dał przy-



Fot. Sariusz Wolski.

Pomnik wdzięczności dla Ameryki.

Dnia 29 października nastąpiło w Warszawie uroczyste odsłonięcie pomnika Wdzięczności dla Ameryki. Pomnik Wdzięczności zbudowany jest z czerwonego i żółtego piaskowca i przedstawia postać kobiecą, która na ramionach dźwiga dwoje dzieci, stojąca zaś poza nią kobieta podaje jej trzecie. Ma to być symbol ratowania dzieci polskich przez Amerykę. Grupa otoczona jest sadzawką i wodotryskiem.

różnych okazjach do poznania, że miłuje przede-
wszystkiem swój naród żydowski, że dla tego na-
rodu przedewszystkiem przyszedł głosić swą naukę
i czynić cuda. Albowiem »nie jest posłany — jak po-
wiedział do niewiasty chananejskiej — jedno do owiec
z domu izraelskiego«; i »nie godzi się — dodał —
brać chleb nauki i cudów synom, to jest żydom, któ-
rym się wpierw należał, a miotać go psom«, to jest
poganom, którym dopiero na drugim miejscu ten
chleb miał być podawany. (Mt. 15, 24.)

Dlatego i Kościół św. zawsze miłość Ojczyzny
gorąco pochwalał, a Ojciec św. Leon XIII uczy, że
»nadprzyrodzona miłość Kościoła i przyrodzona mi-

łość Ojczyzny są bliźniętami i z tego samego od-
wiecznego pochodzą źródła, gdyż sam Pan Bóg oby-
dwóch jest sprawcą i przyczyną«.

Miłość Ojczyzny jest przeto tak samo obowiąz-
kiem sumienia, jak i inne obowiązki, które nam Bóg
nakłada. To samo uczucie, które nam każe czcić
i kochać rodziców i dobroczyńców, pobudza nas rów-
nież do miłości dobroczynnej Matki-Ojczyzny. Po
Bogu i rodzicach bowiem jej najwięcej zawdzięczamy.
Więc wyrzekać się tego uczucia i wypieniać je
z serca, to zbrodnia w równej mierze raniąca sumie-
nie chrześcijanina, jak i honor obywatela.

J. K.

Krzewiciel trzeźwości.

(W siedemdziesiąt rocznicę śmierci ks. Karola Antoniewicza.)

(Dokończenie.)

Pracami misyjnymi w Galicji w roku 1846 tak
X. Antoniewicz skołatał zdrowie swoje, że przełożeni
księża wysłali go na wiosnę roku 1847 w góry nasze
Tatry, aby tam siły swe pokrzepił, aby słabość swą
piersiową wyleczył. X. Antoniewicz, chociaż chory
nie próżnował w górach, ale chodził między ludźmi,
nawiedzał chaty ubogich Huculów, zgromadzał ich
około siebie, nauczał, pocieszał, ratował, prowadził
jak zawsze przez Krzyż do nieba.

Na zinę przybył Ojciec Antoniewicz do Lwowa,
gdzie zrobił ogromne wrażenie z kazalnicy. Ale choć
cały był tam oddany obowiązkom kapłańskim, choć
przepędzał po kilka godzin codziennie w konfesjonale,
znajdował przecież czas i na katechizmy dla dzieci
i na osobne nauki dla sług i służebnic.

W roku 1848 przyjął na chwilę do serca nadzieję
ujrzenia ojczyzny, niepodległej. Słiczne wtedy mówi
kazanie ku uświęceniu usiłowań polskich.

Niebawem przyszło rozporządzenie rządowe, by
zamknąć klasztory Jezuitów i ks. Antoniewicz z bole-
ścią mury zakonne opuścił. Odtąd tułał się, ale tu-
łał pracując na chwałę Bożą. Widzimy go chwilami w
Galicji, to znowu w Greifenbergu dla poratowania
zdrowia, a wszędzie naucza, wszędzie ludzi do Pana
Boga prowadzi. Wieleż on w tej epoce napisał? Dziś
trudno zliczyć owych małych, a takich pełnych życia,
poezji obrazowej i wdzięku, zapachem najczystszej po-
bożności woniących książek. Rozeszły się one mię-
dzy lud i długie czasy będą zbawiać dusze.

W roku 1850 na wieść o klęsce, jaką dotknęła Kra-
ków, pośpieszył tam O. Antoniewicz i na gruzach ko-
ścioła Dominikańskiego powiedział kazanie, które w ca-
łym kraju odgłos znalazło. Później rząd austriacki ka-
zał mu Kraków opuścić.

Gdzież się podział niezmordowany siewca boskiej
nauki? Oto z towarzyszami swymi poszedł nauczać i
pocieszać lud górnośląski. Dzieje Misji Górnośląskiej
należą niezawodnie do najpiękniejszych epizodów tak
zapełnionego zawodu zakonnika.

Przybył wreszcie O. Karol do Wielkopolski, przy-
był otoczony urokiem nadzwyczajnych kolei życia
swojego; zdala zajmował wyobraźnię, skoro go pozna-
no, wszystkie serca pociągał. Ks. Antoniewicz cieszył
się wielce z pobożności, z przymiotów ludu wielkopol-
skiego. Kochany nasz lud, powtarzał: dobry lud, wszę-
dzie ten sam w całej Polsce; poczem dodał: w Po-
znańskiem tylko mędrszy. Poświęcenia O. Antoniewi-
cza nie nie wyrówna. W czasie cholery w Kościanie
oddal się cały na posługi cierpiącego ludu, a posługi-

wał tak, jak jedynie prawdziwy, miłośnik Chrystusa
posługiwać zdoła. Powtarzał on ciągle w tej epoce:
nie cholery się bójcie, ale grzechu. Co go pocieszało,
to przekonanie, że nikt w Kościanie nie umarł, nie bę-
dąc wprzód Sakramentami św. opatrzony.

X. Arcybiskup Przyluski oddał klasztor w Obrze
Jezuitom, a O. Antoniewicz przyjął ochoczo ten przy-
tułek. Jemu już oddawna tęskno było za zamknięciem
i dzwonkiem. Z początkiem listopada mieli się Ojco-
wie Jezuiści zebrać w Obrze, tymczasem pośpieszył
jeszcze O. Antoniewicz do Szaniątek i do Krakowa.
Tam jadąc przejechał tylko przez Kraków, chciał się
dłużej za powrotem zatrzymać. Na ten pobyt cieszył
się niezmiernie, ile, że i siostrę stryjecną miał zoba-
czyć. Ale nadzieja kilka chwil przepędzenia swobodnie
została zawiedziona. Władze miejscowe rozkazały Oj-
cu Karolowi wyjechać. Ze ściśnionem sercem puścił się
w drogę, a tak był strapiiony, że dnia tego żadnej pra-
wie żywności nie przyjął do ust. Tymczasem doszła go
wieść, że w Obrze panuje cholera. Nie zatrzymuje się
więc po drodze, ale rozpisawszy do swoich towarzy-
szy, żeby się na dzień św. jego patrona zjechali, sam
prostą drogą do Obry pośpiesza. O przyjeździe do
Obry tak pisał:

„Wczoraj w dniu św. Karola już późno w wieczór
przyjechałem do Obry. I serce biło gorąco, gdy u-
jrzałem nasz klasztor w ciemności nocy. Czy wiesz, co
to czuje dziecko, kiedy do macierzyńskiego wraca do-
mu i posłyszysz głos matki w głosie dzwonka. Ale w
klasztorku było ciemno, nie mogłem się dopukać i mu-
sieliśmy pójść do X. proboszcza, który serdecznie ze
starym przyjął nas przeorem. O, jak nam tu dobrze,
jak tu będzie dobrze modlić się za was i myśleć o was.
Przez cośmy biedni na tyle łask od Wielkopolan za-
służyli. Niceśmy nie uczynili, a wy dawśmy nam naj-
pierw przytułek w domach waszych, o, więcej jak w
domach, bo w sercach waszych, wystawili i urządzi-
liście ten domek; ale kto dla miłości Pana Jezusa mi-
łosierdzie czyni, ten nie pyta o zasługi żebraka. Bóg wam
to wszystko nagrodzi. Tak tu u was dobrze, tak blizu-
teńko Pana Jezusa. O, żęhy tylko nas stąd nie
wypędzono. Wszystkiego, czego tylko dusza, ser-
ce, ciało zapragnąć może z łaski was wszystkich,
wszystko mamy w obfitości, tylko za wa-
mi nam tęskno — do których serce tak szcze-
rze się przywiązało, bo jakże można was nie
kochać, nie kochać Wielkiego Księstwa, które Bóg
bardzo kochać musi, bo tyle łask mu daje. A ten pierw-
szy po tylu leciech klasztorów niechaj będzie począt-
kiem nowych łask Pana, który rzekł: Kto was przy-
jmie, mnie przyjął. Gdy jeszcze żył na świecie, czu-
łem zawsze, iż nie masz większego szczęścia, jak móc
kogo uszczęśliwić. A dziś jestem przekonany, że to

uczucie jest uczuciem waszego serca! Boście nas, tę biedną rozbitków gromadę uszczęśliwili więcej, niż sami sądzicie. Nie doznałeś, drogi Panie, tego bolesnego żalu, być wygnanym z domu matki i tułać się od kąta do kąta i żyć i oddychać w obcej atmosferze, i dla tego nie możesz pojąć, jaki spokój i radość znowu powrócić do domu matki swojej. Po czterech latach zgromadzić się pod głos dzwonka, powrócić do zakonnego życia — ty, drogi Panie, sercem swoim to odgadniesz, jaka to dla duszy pociecha. A to wszystko wam winni jesteśmy! Niechaj Bóg Wielkopolsce nagrodzi, bo ona biednych sług Bożych nie wyгнаła, ale przyjęła, a gdy inni błotem, ona miłością nas obyspała. Ten Bóg, który za szklanke wody niebem płaci, jakże wam wszystko to nagrodzi, coście dla nas uczynili."

W listach przebiega tęsknota za spokojem klasztoru; chwilami widać przecucie bliskiej śmierci. Ostatni z kilkunastu listów pisany był w sobotę 6. listopada; w niedzielę O. Antoniewicz miał jeszcze kazanie, a w nocy z niedzieli na poniedziałek zachorował. Choroba odrazu najniebezpieczniejsze objawiła znaki. Widoczne było, że to cholera, do której przyłączyło się poruszenie żółci. Ojciec Antoniewicz odrazu mówił o śmierci i gotował się na śmierć, pocieszając towarzyszy, i dając im rozporządzenia.

Ahmed Hikmet Bej.

Przekupień winogron.

Autorem poniższej rzeczy jest jeden z najlepszych współczesnych pisarzy tureckich, Ahmed Hikmet bej, nowelista wytworny o głębokim zmyśle moralnym i narodowym, który był jedną z podpór ruchu narodowego przy rządzie Mustafy Kemala paszy. Rzecz niżej przetłumaczona i zamieszczona na łamach „Gazety Warszawskiej” jest to w artystycznej, kunsztownej formie napisany hymn na cześć tureckiego chłopca, apoteoza charakteru narodowego Turków, pieśń patriotyczna, malująca z dużą siłą uczucia i prawdy, wizerunek duchowy Turka. Rzecz ta zyskała w Turcji nadzwyczajną popularność i inteligencja turecka uważa ją za perłę swej literatury nowoczesnej.

Na wyspie Wielkiej) Początek lipca. Ziemia topnieje, zieleń schnie i praży się. Z nieba płynący żar pali lica, uciśka piersi, tamnie oddech. Wszystko, czego dotkniesz, jest płomieniem. Zewsząd blask oślepiający. Stojące naprzeciwko pinie tworzą czarną, jak węgiel płamę. Oczy nie mogą drgnąć i gasną od światła pod opuszczonymi powiekami. Ziemia i niebo żarzą się.

Wśród bezwładnej szerokiej ciszy, zdaleka od strony mostu, zagrzmiął głos straszny, podniosły, echa budzący:

— Kar - pu - z! Karpuz!

Jak od orlego krzyku, co bije w okna pawilonów, przemosi się nad szczytami pinji i majestatycznie przelatuje za grzbiety gór, stado gołębi przefrunęło do pobliskiego gaju.

— Karpuz!

Na ten głos — od strony Nizanu¹⁾ — dał jakby echo odpowiedź okrzyk bardziej jeszcze gruby i przenikliwszy:

— Czawusz!²⁾

Cisza!... Wszystko jakby zalekło się i zadrżało na chwile, wstrząśnięte tym surowym, zdumiewającym wielkim

Pierwszy ratunek przepisał lekarz powiatu z Wołszyna, ale gdy polepszenia nie było — wysłali OO. Jezuitów sztafetę po doktora Mateckiego, który przyjechał w czwartek. Żadne wszelako środki nie skutkowały — po choleryce pojawił się tyfus.

Pod koniec choroby nasunął O. Antoniewiczowi jeden z jego towarzyszy myśl polecenia się przyczynie św. Stanisława Kostki, którego święto nadchodziło, i ślubowanie, że o ile by, wyzdrowiał, żywot tego świętego napisze. Chory się chętnie na to zgodził, bo chciał żyć, żeby dalej na chwałę Bożą i na zbawienie dusz polskich pracować. Ale Pan Bóg inaczej w mądrości swojej przeznaczył. W niedzielę, dnia 14 listopada właśnie w dzień, w którym Kościół uroczystie święto św. Stanisława obchodzi, O. Karol Antoniewicz ów tyłu próbami niezłamany chrześcijanin, ów niezmordowany sługa Boży, po ciężkich cierpieniach o piątej po południu ducha Bogu oddał. Ostatnie jego wyrazy były: zmiłuj się nade mną.

Tak zamknął przedwcześnie swój żywot ziemski, pełniwszy zasług niż lat, zakonnik niezmierzony, kanzodzieja wielki. Zgasł, kiedy wszyscy ufali w trwałość jego posłannictwa po ludzku rozumując, że P. Bóg dlatego wypróbował go cierpieniami, by mu długi zawód świętej pracy otworzyć.

W.

okrzykiem. Siła tych dwu głosów opanowała pogrążone we śnie drzewa i morze.

— Cza - wu - sz! Cza - wu - sz!

Wysoki, jak głos jego z siwą okrągłą brodą, rozwarła i opaloną piersią, o łydkach w grubych owijkach, o naiwnej twarzy, prosty, mimo, że na plecach osiemdziesiąt ok³⁾ winogron dźwigający, stanął przedemną chłop — posąg męzkości.

— Ojcie, nawołujesz do kupna winogron tak, jak gdybyś rozkazywał. Grzmisz!

— Bynajmniej. Wcale nie krzyczę... Dał mi winogron i zaczął wspinać się na wzgórze. I znowu okolica zadrżała od okrzyku:

— Cza - wu - sz!

Zakochałem się w tym głosie-klejnocie.

Przechodzi sąsiednią uliczką inny jakiś przekupień; woła. „Danteladzy, dantela!”⁴⁾ Naraz bardziej dalekie okrzyki: „Czali fasulija,⁵⁾ patlidzan!”⁶⁾ — zlatują z pagórków i rozplywają się. Lecz ponad nimi góruje głos „Czawu-sz”. W porównaniu z nim, jakże są one zużyte, słabe i marnie!

Pobiegłem ku oknu w tyle domu. Przekupień winogron dosięgnął już szczytu wzgórza. Na skale obok drogi postawił swoje wiadra. Wetknął rękę za czerwony pas na biodrach. Stał. Otwarta goła pierś, napięte tydy: pomnik siły. Z pod grubych brwi, obracając pańskimi ciężkimi oczyma, dumne rzucił spojrzenia i patrzył głęboko, przenikliwie na fale Marmara, przeciwległe brzegi, błękitne niebo, lazurowe morze, złotą pianę, blask słońca, kamienie umiłowanej ojczywej gleby, podobnej do milej niebieskookiej, żółtawozielnej dziewczyny... Tajemnica i żal, jakie w tym spojrzeniu były, przypominały mi dumny dwuwiersz:

Rzekłem „Allah”, na jataganie się wsparłem,
Zbroczony dla ciebie w purpurowej krwi.

(Dokończenie nastąpi.)

¹⁾ Bijuk-ada. Tak nazywają Turcy wyspę Prinkipo.

²⁾ Dzielnica na tej wyspie.

³⁾ „Czawusz-iziumin” — słodkie, ulubione przez Turków winogrona.

⁴⁾ Oka—miara wagi=1 1/4 kgm.

⁵⁾ Koronkarz, koronki.

⁶⁾ Fasola.

⁷⁾ Rodzaj dyni, oberżynka.

PÓŁKSIEŻYC CZY KRZYŻ?

Najwspanialszym pomnikiem architektury nowogreckiej w Konstantynopolu jest meczet św. Zofii przerobiony z świątyni katolickiej, zbudowanej jeszcze za panowania cesarza Justynajana w szóstym wieku.

Miedzy ludnością chrześcijańską nad Bosforem od wielu lat krąży przepiękna legenda o owym przybytku: Gdy w r. 1453 Turcy zdobyli Konstantynopol, część ludności szukała schronienia w kościele św. Zofii. W chwili, gdy przed wielkim ołtarzem odbywało się nabożeństwo, do kościoła wtargnął sultan Mahomet II na czele wojska. Na koniu wjechał do świątyni. Wobec takiego zbeszczeczenia świętego miejsca kapłan zabrał naczynia święte z ołtarza i zniknął w bocznych drzwiach, wiodących do galerji. Żołnierze pobiegli za nim, lecz ku wielkiemu zdumieniu zastali to miejsce zamurowane, bez śladu drzwi. Gdy meczet zofijski wróci do rąk chrześcijańskich, tedy roszną się mury świątyni, wyjdzie kapłan i dokończy Mszy św., zaczętej przed wiekami.

Legenda ta i inne były w kilkowiekowej niewoli

chrześcijan wyrazem nadziei, że przyjdzie chwila, w której barbarzyński najeźdźca i wyznawca Mahometa opuścić będzie musiał Europę — a wtedy wybiję też godzina, kiedy na kopule zagrabionej świątyni zabłyśnie znowu krzyż złoty. Nadzieja ta żyła w sercach prawie wszystkich chrześcijan Wschodu. Były chwile, gdy zdawało się, że niedługo urzeczywistnią się marzenia i sny gorących serc chrześcijańskich. Już w r. 1770 flota rosyjska, wyruszywszy z Bałtyku i odbywszy podróż przez morze Śródziemne usiłowała zdobyć Dardanele i Carogród. Później kilkakrotnie toczyły się walki tuż pod murami Konstantynopola, dość wspomnieć z ostatnich czasów przed wojną w r. 1912 ataki Włochów od strony morza i w r. 1913 atak Bułgarów od strony Czataldży.

Koniec wojny europejskiej zastał Turcję w obozie państw zwyciężonych. Rozgromienie Niemiec było jednocześnie zagładą Turcji. Wiedziały o tem państwa sprzymierzone koalicji; to też w przewidywaniu klęski Niemiec w r. 1915 zawarły



Sultan Mahomet II nad zwłokami Konstantyna XI, ostatniego cesarza państwa bizantyjskiego.



Konstantynopol.

Zgromadzenie Narodowe w Angorze obradowało nad ewentualnością ustanowienia nowej stolicy dla państwa tureckiego. Rzecz łączy się ściśle z przyszłym uregulowaniem sprawy cieśnin. Turcy bowiem myślą o przeniesieniu stolicy z Konstantynopola na ten wypadek, gdyby mocarstwa odmówiły rządowi tureckiemu prawa zamknięcia Bosforu i Dardaneli w czasie wojny. Zgromadzenie Narodowe wybrało komisję, która ma zbadać, które z trzech miast nadaje się na stolicę państwa: Angora, Smyrna czy Brussa? Prawdopodobnie wybór padłby na tę ostatnią, mimo, że brak w niej odpowiednich budynków dla władz rządowych, albowiem Brussa była pierwszą stolicą państwa otomańskiego. Poza tem Angora ma w zimie klimat nieznośny, a odbudowa spalonej Smyrny zajęłaby lata.

układ, mocą którego Rosja miała usadowić się w Konstantynopolu i cieśninach. Tymczasem Rosja przez bolszewików opanowana poniosła klęskę i przez Niemców została zmuszona do zrezygnowania z przyznanych jej przedtem praw do Turcji. Po zwycięstwie nad Niemcami Anglicy zajęli Konstantynopol. Jednomysłna opinia zwycięzców domagała się podziału państwa tureckiego.

Miejsce półksiężyca miał zająć krzyż. Państwo sułtana miało być wykreślone z mapy Europy. Wtedy to Grecy wystąpili, domagając się Konstantynopola w imię praw historycznych, etnograficznych oraz poczucia własnej siły i mocy i dążąc do odbudowy bizantyńskiego państwa i dawnej potęgi. Wojska ich stanęły tuż pod murami miasta. Poniósłszy jednak sromotną klęskę w Azji Grecy nie tylko musieli zaniechać pochodu na Konstantynopol, lecz opuścić nie mały skrawek ziemi zwany Tracją, który im przedtem przyznano. Obecnie nowa konferencja pokojowa w Lozannie w Szwajcarii ma załatwić wszelkie sprawy sporne między Turcją a państwami sprzymierzonymi i Grecją i dokonać pacyfikacji Wschodu.

Jakikolwiek będzie wynik obrad, jedno jest pewne, że Turków z Europy i Konstantynopola nie usuną.

Nieszczęśliwa »Hagja Zofia« pozostanie nadal meczetem tureckim.

Oto smutna historia tegoż kościoła:

Na miejscu, na którym wznosi się dziś meczet św. Zofji, Konstantyn Wielki, przyjąwszy religię chrześcijańską, wystawił kościół ku czci prawdziwego Boga, bogato przyozdobiony przez syna jego Konstancjusza. Później podczas pożaru miasta wspaniała bazylika spłonęła. Teodozjusz II wybudował nową na jej gruzach; gdy i ta runęła, postanowił Justynjan w szóstym wieku pierwszopamiętke życia chrześcijańskiego w Konstantynopolu wznieść na nowo. Authenuis i Isidorus, sławni architekci owego czasu kierowali budową;

pomagało im stu budowniczych, a dziesięć tysięcy murarzy pracowało przez lat 16. Na opędzenie wydatków nałożono znaczne podatki na wszystkie stany. Ściany i sklepienia wzniesiono z cegieł, wspaniałe zaś marmury, porfiry i granity, wprawiały rozmaitością swoją i sztuką każdego widza w podziwienie. Wszystkie prowincje państwa dostarczały osobliwości i skarbów swoich: sprowadzano z Frygji biały marmur z różowymi żyłkami, zielony z Lakonji, niebieski z Libji. Ośm kolumn porfirowych, które cesarz Aurelijan z świątyni słońca z Balbek sprowadził, ośm podobnych z zielonego marmuru, ozdoby świątyni Djany w Efezie, wraz z wielu innymi pomnikami starożytności z Aten i Troady, zdobiły wewnątrz bazylikę św. Zofji. Cesarz był codziennie świadkiem ro-

bót, zachęcał rzemieślników i nie szczędził żadnych ofiar i wydatków. Wapno rozrabiano wodą jęczmienną; filary wstrzymujące sklepienie, utwierdzono wszędzie mocnym żelazem. Cegły użyte na sklepienie kopuły, która śmiałem swem wzniesieniem o biegłości budowniczego w swej sztuce świadczy, wyrabiano na wyspie Rodus, z szczególnie lekkiej i białej gliny, każda z nich ma na sobie następujący napis: »Bóg wznosił tę świątynię, a nie będzie wzruszona: Bóg będzie jej obroną.« Przy budowie kopuły wkładano po każdej warstwie cegieł relikwie Świętych.

W roku 538 świątynia została poświęcona w obecności cesarza; odtąd przez dziewięć wieków była najglówniejszym i najwspanialszym przybytkiem Bożym całego państwa greckiego, który można porównać tylko ze wspaniałym i starodawnym kościołem świętego Piotra w Rzymie. Po upadku cesarza Konstantyna XI, ostatniego z rodziny Paleologów, który w dniu śmierci swojej w tymże kościele się modlił, Turcy zdobyli stolicę chrześcijańskiego Wschodu.

Pierwszy swój pobyt w przastarej świątyni upamiętnili Turcy str-



Meczet św. Zofji.



Wnętrze meczetu.

szną rzezią ludu, który u stóp ołtarza szukał schronienia.

Wkrótce też przepiękny pomnik chrześcijaństwa zamienili na meczet mahometański. Meczety są przyozdobione licznymi kopułami okrągłymi i smukłymi wieżycami zwanymi minaretami. Minarety przy wielkich świątyniach są często marmurowe i dźwigają u szczytów złociste półksiężyce.

I przy kościele św. Zofii Turcy poczynili wiele odmian tak wewnątrz jak i zewnątrz, a przez przy-

budowanie minaretów odjęli owemu arcydziełu sztuki dużo wdzięku i wspaniałości.

Cały kościół jest 180 stóp wysoki; długi 290 a szeroki 260, z ośmiu kopułami, otoczony czterema minaretami, połączonemi między sobą murem.

Ludność turecka opowiada o meczecie zofijskim, że znajdują się w nim dwie olbrzymie świece, które zapalane bywają tylko w czasie wielkich uroczystości. Gdy świece dopalą się do końca, meczet przejdzie z powrotem w ręce chrześcijan...

Skarb w ręku niewiernych.

Było to w roku 1453.

Ostatnia wojna z cesarstwem bizantyńskim; ostatnia walka z chrześcijaństwem na Wschodzie. Runął krzyż, zaświeci półksiężyc, godło islamu.

Decydująca bitwa przegrana. Konstantyn XI Patolog bronił się mężnie. Zginął ostatni cesarz śmiercią bohaterską wraz ze swem dwunastotysięcznym wojskiem. Europa nie zasiłowała, nie pomogła, patrzyła obojętnie jak nawała turecka wdzierała się coraz dalej, zmiatając z oblicza ziemi chrześcijańskie państwa. Węgrzy i Polacy próbowali stawić dzielny opór. Ale sami wyprzeć z Europy napastnika nie zdołali. Wreszcie zdobyty został Konstantynopol, stolica Konstantyna Wielkiego i świętej Heleny, stolica nauk, chrześcijaństwa na Wschodzie, spuścizna starożytnej Grecji!

* * *

Z triumfem wjeżdża sułtan Mahomet II do miasta. Ale miasto dyszy śmiercią — ulice pokryte trupami i konającymi. A kto żyw został będzie zamordowany! Okrutni zwycięzcy nie darują nikomu.

Mahomet II kieruje się ku kościołowi św. Zofii. Olsniwa go ta wspaniała budowla Justyniana Wielkiego, pomnik sławnych dni Bizancjum, w czasach, gdy prorok islamu zaczął głosić swoją naukę... Nie przeczuwała pewnie piękna świątynia zofijska, że muzułmanom służyć będzie...

Nie może oczu oderwać Mahomet II na widok tego cudu świata, serce mu bije ze wzruszenia. Pędzi szybko i konno wpada do kościoła.

Tłumy janczarów rozstępują się pokornie. Sułtan staje jak wryty: setki kolumn dźwigają sklepienia, wokoło mienia się granity egipskie, różnobarwne marmury archipelagu; lśnią zielonością kolumny ze świątyni Diany z Efezu, błyszczą jak w ogniu portyki świątyni Zeusa. To pamiątki starożytnej Grecji znalazły miejsce w kościele św. Zofii. Na ścianach olbrzymie mozaikowe obrazy świętych apostołów; obraz Bogarodzicy skąpany w złocie.

Mahomet ze drżeniem podnosi wzrok ku górze i znów stoi jakby skamieniały z podziwu. Oto sklepienia okrągłe nad nim zawisły takich rozmiarów i tak przepiękne, iż i w snach swoich dumny władca nic podobnego nie przeczuł i nie wymarzył.

Stoi więc zapatrzone w bizantyńskie sklepienie, zapomniał o wszystkim dokoła i jego pogańska dusza utonęła w zachwycie.

Wtem jakiś stuk przerywa ciszę. Budzi się sułtan — co to? Oto jeden z Turków tłucze toporem posadzkę z marmuru! Okrzyk wściekłości wyrwa się z piersi sułtana i nim Turek zdążył spuścić topór, ręka niszczyciela odleciała precz, odcięta szablą srogiego władcy.

Lecz wśród zgorszonych janczarów przeszedł głuchy szmer.

— Sułtan nie pozwala niszczyć świątyni niewiernych?!

W spodzonych duszach zawrzał bunt. Ale Mahomet zażegnał burzę. Szepnął coś muezinowi i wnet z am-

bony rozległa się wrzaskliwa modlitwa muzułmańska, głosząca, iż kościół chrześcijański będzie od tej chwili meczetem.

Zawrócił konia sułtan Mahomet II i wyjechał ze świątyni. Oto janczarowie dźwigali czyjeś zwłoki owinięte czerwoną materją. Mahomet kazał odkryć całun — i wtedy przed oczyma tłumu ukazał się trup greckiego cesarza Konstantyna.

— Odciać mu głowę i zatknąć na kolumnie Justyniana! — rozkazał sułtan.

* * *

Zginęło wielkie Bizancjum, chrześcijańskie mocarstwo na Wschodzie. Pięćset lat już dobiega jak piękne kolumny kościoła św. Zofii patrzą na czołgających się u stóp swych muzułmanów. Zamarły wspaniałe sklepienia tając wspomnienia cudnych nabożeństw religii Chrystusowej — pięć wieków już rozlegają się krzykliwe modły muezinów, wołających do Allaha.

— O, święto Zofio! — zdają się skarżyć mury — czy zabłyszna kiedy krzyże na kopułach twojej opuszczonej świątyni!...

P.

Taniec śmierci.

Opowiedziała J. K. Tel.

(Ciąg dalszy.)

Zaczął tedy deklamować: Był sobie dziad i baba, drugą strofkę wypowiedziała Zosia, poczem nastąpił dialog z odcieniami głosu przechodzącymi z pieszczotliwych w gniewliwe, a nawet ruchów nie brakowało, tak, że przybliżyli się do drzwi, tarmosząc wzajemnie; tu Staś tak zręcznie i niepostrzeżenie zapukał, że baba na prawdę się przelekła i zapomniała roli. Zastąpił ją brat zapytując fałsetem: „Kto tam?” i zawiadamiając stłumionym i ponurym głosem przybycie groźnego gościa. Zaczem rozwinęła się dalsza akcja, baba schowała się pod stół, a dziad pod ławkę. W tej krytycznej chwili otworzyły się drzwi umieszczone naprzeciwko kominka i stanęła w nich panna Agnieszka, spostrzegłszy niespodziewanie, jakieś białe widmo, aż krzyknęła ze strachu tembardziej, że pokój wydawał się pustym.

— Jezus! Marja! Gdzie dzieci? Co to jest?

— To śmierć — odpowiedział rozmieszony dziad wysuwając się z pod ławy — popsulaś jej szyki panusiu, właśnie się po nas skradała, kiedyś na jej drodze stanęła.

— Cóż to za głupie żarty i co za maskarada? — łajala, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie guwernantka.

— Bawiliśmy się w dziada i babę — tłumaczyła Zosia.

— Takie duże dzieci i takie się wam głupstwa trzymają! Czyż to godzi się żartować ze śmierci! To może, broń Boże, przynieść nieszczęście! Złapa-

liście ubranie rodziców! Mój czepek! To wstyd, a dziś byliście u spowiedzi. Żarty ze śmierci! To nie do uwierzenia... nie można was ani na chwilę zostawić samych... zawsze jakieś psie figle was się trzymają... poskarżę się przed rodzicami!

Tu rozbawione dzieci objęły staruszkę, przepraszając i obcałowywując zaczęły się z nią okrecać na około pokoju. Ona zrzędziła, ale mimo wysiłków nie mogła im się opędzić; w ten sposób obracając się wirowym ruchem doszli do kominka i przypadkiem potracili szczołkę, która tak nieszczęśliwie upadła, że zaczepiwszy prześcieradłem o niewielkie lustro wiszące nad kominkiem, zrzuciła je na podłogę.

Na hałas i brzęk potłuczonego na kawałki lustra przybiegła z kuchni służąca.

— Lustro się stłukło! — zawołali wszyscy razem.

Dzieci stanęły jak wryte, panna Agnieszka aż upadła na krzesło.

— Lustro — szepnęła Zosia — to zły omen.

— Ktoś w domu na pewno umrze — zawyrokowała służąca.

Guwernantka aczkolwiek sama zatrwożona, gdyż była przesadna, zachnęła się:

— Co też Ludwikowa plecie, to są niemądre przesady.

— Tak — odrzekła Zosia — ale wszak paniusia sama dopiero co mówiła, że zabawa w śmierć może przynieść nieszczęście.

— To zupełnie co innego, śmierć to zbyt poważna rzecz, by z nią igrać.

— Nie trzeba tego brać do serca — tłumaczył Staś, czując się w obowiązku jako mężczyzna uspokoić kobiety. — Lustro się stłukło, bo było szklane.

— A dlaczego — spytała Ludwikowa — panicz sam tak pobladł i posmutniał?

— Bo mi przykro, że z mojego powodu rodzice będą mieli koszt i nieprzyjemność; — mówiąc to, mężczyzna otarł nieznacznie łzy z oczów. — Czy to dużo takie lustro kosztuje? — zapytał zwracając się do panny Agnieszki.

— Nie tak wiele, bo to małe zwyczajne lustro.

— Jaka to szkoda, że jutro niedziela, mam pieniądze, które mi ojciec dał na imieniny...

— Tak, tak — przerwała Zosia płaczliwym głosem — ja też moje dołączę i odkupimy lustro, idzie tylko o to, żeby rodzice braku nie spostrzegli.

— To też uprzątnijmy szkło prędko — dodał Staś, zabierając się do roboty.

— Jak paniusia myśli — zapytała Zosia — nie spostrzegą braku lustra?

— Nie wiem, moje dziecko, tymczasem już wielki czas udać się na spoczynek.

Tak też uczyniono, uprzątnawszy przedtem pokój, przyczem groźna śmierć ogołocona ze swojej draperji, pełniła swoje zwykłe zadanie.

Bliznięta przyzwyczajone były do odmawiania wspólnie pacierza, więc i teraz ukłękły razem przed obrazem Matki Boskiej z panną Agnieszką, która po skończeniu zwykłych modlitw, dodała jak jej się wydawało cichym szeptem:

— Najświętsza Panno, wyproś u Pana Jezusa, ażeby o ile śmierć ma wejść do naszego domu, mnie zabrała a oszczędziła moich ukochanych.

Nie zauważyła jednak, że Staś i Zosia dosłyszawszy te słowa, za nią je powtórzyły.

Rozdział IV.

Na balu bawiono się świetnie; wszyscy zaproszeni dopisali prócz jednej panny Flory, która niespodziewanie wyjechała dnia tego rano ze swoją dame de compa-

gnie do Warszawy. Upozorowano ten wyjazd wezwaniem do jakiejś chorej ciotki, złe jednak języki twierdziły, że przyjechał do stolicy jakiś zamożny inżynier za którego panna chciała się wydać za mąż.

Za to Józio, choć jeszcze nie mógł tańczyć, świetnie robił honory, pilnując, żeby zaproszonym na niczem nie zbrakło.

Hania rzeczywiście miała ogromne powodzenie i ku niezadowoleniu matki, obawiającej się zbytniego zmęczenia, tańczyła bez wypoczynku.

Główni gospodarze zabawy, pod pozorem braku miejsca w sali jadalnej, urządzili w przyległym do niej gabinecie osobny stolik, do którego zaprowadzili Adaś Hanię, Józio Jadzię, Arturek doktorówny, Bolek też zastawił sobie miejsce z drugiej strony panny Jadzi, zmuszony był wszelako zaglądać do głównej sali, ażeby wszystko szło składnie.

Doktor wymówił sobie, żeby kolacja była higieniczną, zabronił stanowczo podawania lodów, nie mówiąc już o owocach. Ale od czegoż spryt kawalerski? Przy głównym stole podawano gorącą leguminę, do małego zaś pokoiku przyniesiono bardzo niewinnie wyglądającą „charlotte Russe”, miała pozór babki biszkoptowej, a że tam w środku były lody... no, o to się panny nie gniewały. Hania miała wprawdzie wątpliwości, czy dobrze przy wodach i wobec zakazu lekarza, jeść lody, ale usłyszawszy dotkliwie żarty i docinki, jakimi obsypano biednego Arturka, który oświadczył stanowczo, że lodów do ust nie weźmie, zagłuszyła głos rozsądku i z apetytem spożyła przysmak.

Nie dosyć na tem, Adaś pojechał był umyślnie do sąsiedniego majątku i nabył tam przepyszne brzoskwinie, które w sekrecie małe kółeczko uraczył. Owoce zakazany! Wszak on zawsze nęci zwłaszcza tak młode istoty! Nie dziw tedy, że wszyscy ulegli pokusie, prócz jednego Arturka; odpowiedział on na drwinki:

— Wolę, żebyście się państwo dziś ze mnie wyśmiewali, niż jutro płakali na moim pogrzebie, a szkoda byłaby tak ładnego chłopca.

Za karę postawiono go w drzwiach na warcie, ażeby w razie niespodziewanego najścia móc ukryć corpus delicti.

Rozjechano się koło pierwszej, gdyż mimo nalegań doktor X. nie pozwolił dłużej tańczyć.

Rozdział IV.

W poniedziałek rozeszła się między kuracjuszami wieść błyskawiczna, że uroczą królową sobotniego balu tak ciężko na wodach zaniemogła, iż musiano ją odwieźć do domu.

Hania już w niedzielę była tak nieusposobiona, że wcale z domu nie wychodziła, nie przywiązywano do tego wielkiej wagi, przypisując to zmęczeniu po balu. Jakoż w poniedziałek czuła się o tyle lepiej, że o 6-ej rano odprowadziła odjeżdżającego ojca na dworzec, poczem udała się na wody. Po wypiciu drugiego kubka, zemdląła i mimo natychmiastowej pomocy nie mogła o własnych siłach wrócić do domu. Stary lekarz, który ją odwiózł zarządził wszelkie środki ratunkowe, lecz miał przytem bardzo zasepioną minę.

W parę godzin sprowadził sam drugiego lekarza, a po naradzie zażądali wezwania trzeciego z pobliskiego miasta.

Panna Ryłska dowiedziawszy się o zachorowaniu przyjaciółki, zaraz tam poszła, ale z nikim widzieć się nie mogła, gdyż wszyscy byli zajęci przy łóżu cierpiącej.

Czekała tedy przed domem, gdzie spotkała mocno strapionego Adasia, na doktora, ażeby się coś od niego o stanie chorej dowiedzieć. Kiedy tenże wychodząc od pacjentki ujrzał stojących, oburzył się na nich, i szorstko kazał nie zawracać mu głowy, i wcale tu nie przychodzić.

Mimo tego zakazu panna Ryłska z bratową udały się znów około piątej do Polkowskich; właśnie gdy do ich domu dochodziły, przybył ów zawezwany z miasta lekarz. Dzięki temu mogły się zobaczyć z panną Agnieszką i z Zosią, wyproszono je bowiem z pokoju. Wyszły tedy na werandę — tak stara guwernantka jak Zosia trzęsły się z przerażenia i zmartwienia, a były tak blade, że twarzyczka dziewczeczki nie różniła się kolorem od białej bluzki, jaką miała na sobie, i dziwnie odbijała od sznuru koralu zawieszzonego na szyi. Opowiadały one o szczegółach choroby, o rozpaczach matki, a przytem zęby im tak szczekały, że chwilami nie mogły mówić. Podczas tej rozmowy wypadł z sionki Staś z receptą w ręku, a tak się spieszył, że nawet się paniom nie uklonił.

— Biedny Staś — rzekła Zosia — od rana wciąż biega to do doktora, to do apteki, to z depeşami na pocztę, a tu taki upał; choć mnie wcale nie jest gorąco.

Po kilku zaledwie minutach chłopiec powrócił z lekarstwem, oddał je czekającemu na progu lekarzowi, poczem nalał sobie szklankę wody ze stojącej na stole karafki, duszkiem ją wychylił i to z taką szybkością, że panna Agnieszka nie zdołała temu przeszkodzić.

— Bój się Boga, Stasiu! taki jesteś spocony i pijesz zimną wodę!

— Szalenie gorąco i pić mi się okrutnie chciało — odrzekł chłopiec, któremu w przeciwieństwie do siostry mało krew nie tryskała z twarzy a pot kropił się na czole, oczy zaś patrzyły błędnie.

— Tak, ale pamiętaj, że mama ma i tak dosyć zmartwienia.

— Ech — odparł — nic mi się nie stanie.

W tej chwili wyszli z sionki leka-

rze, którzy się spieszenie oddalili prócz doktora X. Panna Agnieszka z Zosią poszły do pokoju, a doktor oddał Stasiowi kartkę z poleceniem, ażeby ją zaraz zaniósł na pocztę, co też bezzwłocznie uczynił.

Korzystając, iż nikogo z domowych nie było, Ryłska zbliżyła się do doktora z niemem zapytaniem. W odpowiedzi kiwnął smutnie głową:

— Ot, nieszczęście! A tak prosiłem, tak nalegałem, żeby się wystrzegać owoców! Pannie tu nie powinny przychodzić.

— Zatem to jest? — spytała cicho Ryłska.

— Niestety tak, nie można już się ludzi! Wszystkie objawy, przed chwilą naciskałmy ciałem palcem, powstaje wklęsłość... oznaka to cholery.

Drzwi od sionki uchyliły się i stanęła w nich wprost skamieniała z bólu Polkowska, zdawała się nie widzieć Ryłskich, które też nie śmiały do niej podejść. Błagalnie wpatrywała się w lekarza, tak jak skazaniec oczekujący wyroku śmierci. On przed tem zrozpaczonem spojrzeniem spuścił oczy... po chwili jednak ująwszy ją za rękę rzekł:

— Nie trzeba tracić nadziei, wszystko w ręku Boga... módl się i nie upadaj na duchu. Tymczasem telegrafowaliśmy do meża, żeby przyjechał, boć tak sama być nie możesz.

Żałowała ręce i spytała:

— Kiedy on może przyjechać?

— Nie wcześniej jak jutro o wpół do drugiej.

Rozdział VI.

Mimo poszukiwań nie można było znaleźć ani na miejscu, ani w sąsiedztwie odpowiedniej dozorczyń, dopiero telegrafowano do Polkowskiego, żeby jaką ze sobą przywiózł. Tymczasem matka z guwernantką pielegnowały chorą, a Zosia nie dała się doktorowi namówić do opuszczenia pokoju siostry, tem bardziej, że i jej usługi nie były zbyt cenne. Staś był tak zmęczony i wyczerpany ciąglem bieganiem, że doktor wyprawił go gwałtem do łóżka.

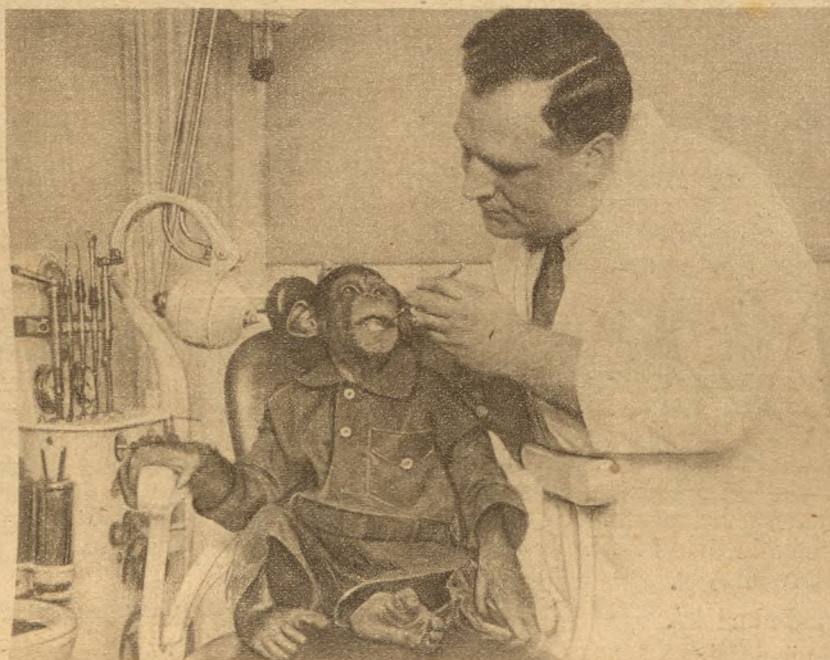
(Ciąg dalszy nastąpi.)



Sennecke.

Najstarsza pasażerka w samolocie.

85 letnia staruszka Hazlett w Ameryce, w chwili, gdy zamierza odbyć drugą swą podróż napowietrzną.



Cierpliwy pacjent.

Sennecke.

Małpa Sally, występująca w pewnym cyrku Ameryki, musiała udać się z powodu bólu zębów do lekarza-dentysty.